

*Maj 1947, Wrocław*

Miriam dostała dzisiaj mój dziennik. Ma urodziny, te prawdziwe, które świętujemy w ciszy. Kończy dziewiętnaście lat, w rzeczywistości jest więc już dorosłą kobietą, nie dziewczynką, nawet jeśli wciąż nosi dziewczęce ubrania, zaplata włosy w warkocze i udaje młodszą. Nie wygląda zresztą na swój prawdziwy wiek, a raczej na ten fałszywy, podany w akcie urodzenia, szkolnej legitymacji i książeczce zdrowia – we wszystkich papierach, które określiły naszą nową tożsamość i które kupiłam za złoto. Za złoto można kupić całkiem sporo, zwłaszcza jeśli się wie, do kogo pójść. Mam go jeszcze trochę w kołnierzu i nadal nie rozstaję się z płaszczem. Teraz jest już wytarty i dziurawy, służył mi za ubranie, kołdrę, posłanie, chronił od deszczu i śniegu, od słońca i wiatru.

Wiele rzeczy mogli mi zabrać, ale nie płaszcz i nie kołnierz płaszcz, w którym zaszyłam swoją przeszłość. Wyprzedaję ją kawałek po kawałku i coraz mniej czuję, że oddaję własne życie. Robię to przecież

w słusznym celu. Robię dla Miriam. Jest wszystkim, co mam, ale nie tylko o to chodzi. Chodzi również o to, że ją po prostu kocham. Kiedy poznałyśmy się na liniowcu St. Louis, zwróciłam uwagę na intensywnie rude włosy Miriam i piegowatą, drobną twarz. Automatycznie dotknęłam własnych kosmyków, zaplecioniowych w ciasną koronę. Ufarbowałam się na blond, by zwiększyć swoje szanse dotarcia cało do Hamburga, ale przecież ja także byłam ruda. Ruda, chuda okularnica. Lotte Seidemann-Aber. Przyszło mi do głowy, że Miriam mogłaby być moją córką, ale teraz już tak nie myślę. Teraz myślę tylko o tym, że ona jest moją córką. Trwamy przy sobie, bo chcemy, podjęłyśmy świadomą decyzję. Ja jestem matką, która nie odeszła. Ona jest córką, dzięki której żyję.

Przyglądam się jej teraz, kiedy w zamyśleniu przewraca strony dziennika. Według dokumentów ma dopiero szesnaście lat i nazywa się Maryla Kwiatkowska. Maryla, córka Karoliny i Mieczysława. Karolina to ja, a Mieczysław nie żyje, zginął pod gruzami dawnej Warszawy, miasta, którego już nie ma. Tak naprawdę pod gruzami kamienicy na Nowogrodzkiej zginęła wtedy cała rodzina Kwiatkowskich, ale nikt przecież nie będzie tego teraz dociekał. Na wojnie zginęło i zaginęło wielu ludzi, a o większości z nich nigdy więcej nie usłyszymy. Mieczysława Kwiatkowskiego poznałam swego czasu bardzo dobrze, pomógł mi, może mnie nawet uratował. Kiedy po raz ostatni opuszczałam Warszawę,

nie sądziłam, że już się więcej nie spotkamy. Nigdy się tego nie wie, dlatego tak wiele spraw pozwalamy sobie odkładać na później, rysując w wyobraźni mniej lub bardziej wyrazistą wizję przyszłości. Kiedy ponownie się zobaczymy, zrobię to i to. Kiedy ponownie się zobaczymy, odwdzięczę się. A gdybym w tamtym czasie wiedziała, że już nigdy nie spotkam Mieczysława Kwiatkowskiego? Czy mogłabym z miejsca urzeczywistnić swoje plany, dogonić przyszłość i ściągnąć ją ku teraźniejszości? Nie, nie mogłabym.

Kwiatkowski sprzedawał biżuterię w naszym sklepie na placu Zamkowym, był bardzo dobry w swoim fachu, skrupulatny i rzetelny. Kiedy się spotykaliśmy, zawsze sporo mi opowiadał o swojej córce Marylce – bardzo zdolna uczennica, a jak haftuje! – i żonie Karolinie, która jak nikt inny potrafiła utłuc ziemniaki z masłem. Poznałam je później osobiście, ale nie byłam w stanie odpowiednio docenić ich zalet.

Czy to rzeczywiście aż tak źle, że przedłużyłam Marylce i Karolinie żywot? A może lepiej i słuszniej byłoby pozwolić obu kobietom zostać pod gruzami, tam gdzie spotkały się z przeznaczeniem? Może nie jestem nikim więcej niż tylko złodziejką tożsamości, która uparcie i na przekór wszystkiemu uważa, że gdzieś musi istnieć dla niej odpowiednie miejsce na świecie? Nie wiem. Chciałam zamieszkać w Breslau – we Wrocławiu – by Miriam mogła wrócić do domu, więc zrobiłam, co musiałam. Jeśli będę to powtarzała wystarczająco często,

na pewno zdołam przekonać samą siebie, że postąpiłam właściwie.

Miriam nadal nie odzywa się słowem. Wydaje z siebie jakieś dźwięki tylko wtedy, kiedy się śmieje lub płacze. Czasami zamieniam się w szpiega, podglądam ją i podsłuchuję, z nadzieją, że może mówi do siebie lub chociaż przez sen. Nic takiego się nie dzieje. Miriam milczy uparcie i absolutnie, milczy nie tylko wobec świata i ludzi, ale także wobec samej siebie. Jest przerażająco konsekwentna i wiem już, że to się nigdy nie zmieni. Potrafi jednak bardzo dobrze pisać, piękną polszczyzną, bez żadnego błędu. Ma talent literacki, o wiele większy niż ja. W szkole każdy sprawdzian zalicza pisemnie i mam nadzieję, że później jakoś sobie w życiu poradzi. Nie w każdym zawodzie trzeba mówić, coś się dla niej na pewno znajdzie. Martwię się. Chciałabym wprowadzić ją w dorosłość, nauczyć samodzielności, zyskać przekonanie, że beze mnie da sobie radę. Zaczęłam nawet o siebie dbać, nie mogę przecież umrzeć na własne życzenie, teraz już wiem – to by było nieodpowiedzialne. Nie palę papierosów i staram się, z tego, co udaje mi się kupić, dobrze gotować. Nie jest łatwo, ale tak naprawdę zacznę się martwić wtedy, gdy wydam ostatnie pieniądze. I gdy wypruję z kołnierza ostatni złoty pierścionek.

Słuchamy z Miriam radia i rozmawiamy, ja mówię, ona pisze na małych kartkach wygryzionym ołówkiem. Nauczyliśmy się także śmiać i płakać, bo wydaje mi

się, że możemy już sobie na to pozwolić, zwłaszcza we własnym mieszkaniu, dość dużym pokoju z kuchnią, blisko Rynku. Wojna skończyła się dwa lata temu, a jednak ciągle zdarza nam się budzić w nocy i kulic pod wspólną kołdrą. Niemniej uważam, że płacz i śmiech, bardzo ludzkie okazywanie emocji, jest zdrowe, szczególnie że przez lata nauczyliśmy się wszystko zachowywać dla siebie. Żyliśmy w czasach, kiedy strach, ból, złość, rozpacz i poczucie bezsilności były czymś powszechnym, doświadczeniem raczej zbiorowym niż indywidualnym, które czyniłoby los człowieka z jakiegoś powodu wyjątkowym. A teraz? W jakich czasach żyjemy? Nie wiem. Tracę zdolność deszyfrowania rzeczywistości.

Może Miriam znajdzie odpowiedź na to pytanie. Zdecydowała się prowadzić dziennik, zupełnie jak ja trzydzieści dwa lata temu. Pierwsze notatki, które sporządziłam jako siedemnastolatka, wydają się mi się teraz po dziecięcemu naiwne, a mój dawny świat – prosty i zorganizowany wokół zrozumiałych zasad.

Nawet jeśli trwała wtedy wojna. I nie przypuszczaliśmy, że będziemy ją później nazywać „pierwszą”.

*2 kwietnia 1915, Wiedeń*

Śniło mi się, że straciłam pamięć. Obudziłam się pewnego ranka i nie miałam pojęcia, kim jestem. Był to

więc również osobliwy sen o przebudzeniu, jeden z najstraszniejszych, bo zadziwiająco rzeczywisty. Wydawało mi się, że przerwałam nić łączącą mnie z tamtym niezrozumiałym światem i niepojętym zjawiskiem – ze słynnym bratem śmierci, który wydobywa na wierzch utajone lęki i marzenia. Zamknęłam za sobą drzwi i oto już nie śnię. Zaraz jednak się okazuje, że drzwi wcale nie są zamknięte, została wąska szpara, przez którą przesącza się blade światło. Brat śmierci wcale się nie poddał, jest tu ze mną, nie chce puścić. Moje powieki wcale się nie uniosły, choć we śnie oczy mam otwarte, przecieram je, siadam przed lustrem i długo wpatruję się w swoją twarz, którą – jak mi się zdaje – oglądam pierwszy raz w życiu. Jest to twarz starej kobiety. Wokół oczu i ust rysują się głębokie zmarszczki, skóra wydaje się cienka, prawie przezroczysta, i marszczy się na szyi. Pokrywają ją brązowawe plamy. A oczy... oczy są szklane i nieruchome. Myślę, że tak właśnie muszą wyglądać oczy kogoś, kto nie rozpoznaje w lustrze samego siebie.

Ściany pokoju, w którym się znajdowałam, pomalowano na biało. Pulsowały, tak jak powietrze pulsuje pod wpływem gorąca. A ja po prostu siedziałam i patrzyłam na własne odbicie, osobliwie napięta i zastygła w kamiennym bezruchu. To bolało, tak po prostu nie wiedzieć, kim jestem. Nie umiem nazwać zbyt dokładnie tego, co czułam, ale ból wydaje się dobrym określeniem. Moje ciało, mój umysł, nie miały żadnych

sznurków, które mocowałyby je do przeszłości i teraźniejszości, ani też żadnego sznurka, który prowadziłby w nieznaną, ku przyszłości. Byłam oderwana od wszystkiego, co mnie tworzyło. A wiedziałam, że coś takiego musiało istnieć, nie umiałam tylko po to sięgnąć w głąb siebie.

Obudziłam się spocona i rozedrgana. Moje serce biło za szybko, nie mogłam złapać tchu. Jako pierwsze zarejestrowałam uczucie ulgi na widok znanej przestrzeni i znanych przedmiotów. Wiedziałam, jak się nazywam, ile mam lat, kim jestem. Podeszłam do okna i zobaczyłam żołnierzy na koniach. To 15 Pułk Dragónów, elitarny cesarski oddział. Wiedziałam, że właśnie z takim pułkiem wyruszył na wojnę Oskar Kokoschka, obecnie ulubiony malarz mojej ciotki. Z fotografii na komodzie patrzyli na mnie ojciec, ciotka Wilhelmina, dziadek Seidemann i matka. Ta ostatnia w pozłacanej ramce. Koszula nocna przylepiła mi się do ciała, zatrzęśłam się z zimna.

Już nie śniłam. Wróciłam pod kołdrę. Dzień dopiero się zaczął.

Nie mogę zapomnieć o tym śnie, nie jestem w stanie wyrzucić z głowy wielkiego uczucia pustki. I samotności. Bo przecież skoro nie pamiętałam siebie, to nie mogłam też pamiętać innych ludzi. Byłam sama. Sama ze swoim obcym ciałem i umysłem wyczyszczonym ze wspomnień. Co by na to powiedział doktor Freud? Może kiedyś go o to zapytam?

Chyba dlatego piszę. Na wypadek gdybym kiedyś obudziła się z pustką w głowie, w ciele starej kobiety, która nie pamięta swojego życia. A może nie tylko dlatego.



Nazywam się Charlotte Anna Seidemann-Aber, mam siedemnaście lat, mieszkam na Operngasse w Wiedniu. To całkiem blisko opery i Ringstrasse, ulicy wytyczonej na miejscu dawnych murów miejskich. Mój ojciec, Leopold Seidemann-Aber, jest właścicielem trzech salonów jubilerskich – na Elisabethstrasse, na Mariahilfer Strasse, w Casa Piccola, tuż obok salonu sióstr Flöge, i w Warszawie, na placu Zamkowym. W tym pierwszym sprzedaje tradycyjną, klasyczną biżuterię dla ludzi „z zasadami”, czyli dla pań, które wciąż sznurują gorsety wokół kręgosłupów, a także dla panów z szyjami uwięzionymi w wykrochmalonych na sztywno kołnierzykach i wąsami w stylu miłościwie nam panującego cesarza. W drugim mój ojciec sprzedaje ozdoby nowocześniejsze, które można nazwać awangardowymi. Jego klientki noszą drogie i ekstrawaganckie suknie od Emilie Flöge, całkiem śmiało pokazują kostki, odrzucają gorsety, otwarcie wyrażają własne poglądy, nie kryjąc się z tym, że jakieś mają, są dowcipne, złośliwe, palą papierosy, a kilka nawet pracuje zawodowo. W Warszawie właściwie nie wiem, co ojciec sprzedaje, ponieważ odwiedziłam ten salon tylko raz.



Zapamiętałam przede wszystkim to, że długo wpatrywałam się w nazwę sklepu wypisaną po polsku i rosyjsku. Za ladą dwaj subiekci natrzęsali się z mężczyzny, który dopiero opuścił salon, i mówili o nim „Moskał”. Wypowiadali też z zabawnym, przerysowanym akcentem zwroty „po czemu”, „nie lzia” i „innostraniec”. Moskał był ponoć jakimś ważnym urzędnikiem.

Mam wrażenie, że mój ojciec czuje się prawdziwym panem tylko w Warszawie, bo to właśnie tam zaczynał i sam, bez niczyjej pomocy, dzięki własnemu sprytwi i smykałce do interesów, zarobił pierwsze prawdziwe pieniądze. I oczywiście salon warszawski też był pierwszy. Ojciec nigdy nie opowiadał mi o tym, co musiał zrobić, by odnieść tak wielki sukces pod rosyjskim zaborem, ale domyślałam się, że utrzymywał kontakty z różnymi ludźmi i dokonywał różnych transakcji. Lubię słowo „różny”, bo pozwala zachować dystans i niczego nie wartościuje. Może oznaczać zarówno coś dobrego, jak i złego. Domyślałam się, że jeśli się nie ma prawie nic, a później ma się tak wiele, to po drodze należało pójść na jakieś kompromisy. Ojciec zdobywał doświadczenie, pracując u innych, podróżował do Rosji, zawarł kilka korzystnych umów i przy okazji pokazał światu, co potrafi. A potrafił nie tylko sprzedawać biżuterię, którą szczególnie ukochał, ale przede wszystkim umiał też ją projektować i wytwarzać. Artysta, rzemieślnik i człowiek interesu w jednym. Miał ciekawe pomysły i dar do zjednywania

sobie ludzi. Zwłaszcza – dzięki urokowi osobistemu – pań z wyższych sfer, z których szybko uczynił swoje stałe klientki. Odpowiadał na ich potrzeby, lecz także w jakiś sposób te potrzeby stwarzał. Patrzył na kobiety taksująco, niemal nieprzyzwoicie, wodził wzrokiem po szyi, dekolcie, uszach i nadgarstkach, i nagle już wiedział, co powinna nosić. Kolczyki, bransolety, naszyjniki, łańcuszki – szkicował wszystko od ręki, szybko, jak po wpływie szalonego natchnienia, które było ponoć po mistrzowsku odegrane. Pani przyglądała się projektom „szalonego geniusza” i zdawała się pewna, że właśnie tego chce, że o takiej biżuterii marzyła od zawsze, tylko nie umiała precyzyjnie oddać swoich pragnień.

Wiem to wszystko od ciotki Wilhelminy, która mnie wychowuje. Ojciec wciąż podróżuje między Wiedniem i Warszawą, zwiedza Europę, szuka inspiracji. A ciotka, choć już dość stara, bo po trzydziestce, wydaje mi się bardzo nowoczesną kobietą. Często szydzi z mężczyzn i obiecuje, że opowie mi to i owo, kiedy jeszcze trochę podrosnę. Po raz pierwszy złożyła taką obietnicę pięć lat temu i choć od tamtej chwili faktycznie usłyszałam z jej ust sporo interesujących historii, nie wiem, czy można je określić jako „to i owo”. Muszę zatem jeszcze poczekać.

Napisałam „ojciec podróżuje” i „szuka inspiracji”, a to nie do końca prawda. Powinnam użyć czasu przeszłego, ojciec podróżował i szukał inspiracji jeszcze

przed rokiem, zanim ziemię przecięły okopy. Teraz jednak raz na jakiś czas opuszcza dom w innym celu, o którym nic mi nigdy nie mówi. Bo jestem za młoda i nie zrozumiem. Albo: „To dla twojego dobra, Lotte”.

Aż do roku tysiąc dziewięćset cztertnastego, do zeszłego, pięknego lata, my także dużo podróżowałyśmy. Ciotka Wilhelmina uważała, że o świecie nie można się niczego dowiedzieć, siedząc w domu. Wynałazła mi więc doskonale wykwalifikowaną guwernantkę o nieposzlakowanej opinii, pannę Irenę Neumann, polską Żydówkę z Galicji, mówiącą biegle w kilku językach, oboznaną w historii i geografii, sprawnie grającą na pianinie i skrzypcach, wysoką i sztywno wyprostowaną. Panna Neumann rzadko się uśmiechała i zawsze pachniała proszkiem do prania. Przemierzała z nami Europę bez słowa sprzeciwu, a godziny wolne od pracy spędzała w muzeach i na spacerach. Nie miała poczucia humoru i stanowiła zupełne przeciwieństwo Wilhelminy, która jednym słowem potrafiła uciszyć kilku mężczyzn, „bawiących się w poważne dyskusje, zupełnie nieodpowiednie, jak twierdzili, dla kobiet”. A jednak szanowałam pannę Irenę za jej ogromną wiedzę, wykształcenie i niezależność. Widziałam w niej osobę wyzwoloną, która pracuje, u kogo chce, i nie musi nikogo pytać o zdanie. Prawda była pewnie bardziej złożona, a jej los trudniejszy, niż sądziłam, ale wtedy tego nie wiedziałam. Lubiłam pannę Irenę na swój sposób. Nigdy nie podnosiła głosu, miała anielską cierpliwość

i – jeśli czegoś nie rozumiałam – tłumaczyła do skutku. Podziwiałam u niej opanowanie, którego mnie samej brakowało.

W ubiegłym roku wydarzył się jednak tamten okropny zamach w Sarajewie i wybuchła wojna. Panna Irena wyjechała do rodzinnej Galicji, by zaopiekować się matką, a mój ojciec uznał, że musi przed powrotem do Wiednia zabezpieczyć interes w Warszawie, bo czuł, że kiedy nastanie pokój, wszystko się może zmienić. I to dosłownie. Nie wiedziałam, co miał na myśli.



Moje pole widzenia zostało bardzo zawężone, a mój świat z całej Europy, z odległych gór i jezior, z włoskich plaż, greckich wysp, ze szczytu Wezuwiusza, po którym kroczyłam w gęstym pyłe, z olbrzymiego liniowca, którym płynęłam przez Morze Śródziemne, skurczył się do domu na Operngasse. Podróże stały się zbyt niebezpieczne, trudno w ogóle o pozwolenie na wyjazd z Austrii. Ciotka Wilhelmina, narzekając na świat i ludzi, urządziła lokum tak, by można w nim było nie tylko zatrzymywać się co jakiś czas, ale po prostu mieszkać. Zapisała mnie do prywatnej szkoły, w której nie nauczyłam się dotąd niczego nowego, zadbała o popołudniowe lekcje muzyki i – choć z pewnym, jak mi się zdawało, obrzydzeniem – odnowiła dawne kontakty w mieście.

Być może to dlatego zdecydowałam się pisać dziennik i tak naprawdę wcale nie kieruję się lękiem o utratę pamięci, nie działam pod wpływem wspomnienia tamtego dziwnego snu. Życie nagle bardzo zwolniło, choć przecież świat zdawał się coraz szybciej pędzić ku pięknym wizjom przyszłości. A może piszę dlatego, że moja przeszłość składa się z migawek i fragmentów, jak rozsypane fotografie, częściowo podarte i poplamione, na których nie można w pełni rozpoznać twarzy, przedmiotów i miejsc. Z człowieka będącego w ciągłym ruchu stałam się człowiekiem ograniczonym kilkoma ścianami, bardzo niepewnym jutra.

Usiłowałam pozbierać w całość okruchy wspomnień, także tych przykrych. Jak choćby najwcześniejsze, związane z moją matką, dziewczyną o delikatnych nerwach i słabym zdrowiu, która wiecznie się czegoś bała. O niej także opowiedziała mi ciotka Wilhelmina. Uważała, że moja matka nie została w żaden sposób zahartowana, rosła pod kloszem i nie znała prawdziwego życia. Gdyby dorastała w rodzinie Aberów, na warszawskich Nalewkach, gdzie ciągle przeciekał dach, a sąsiad miał koguta, wszystko potoczyłoby się inaczej. Tymczasem „nawet małżeństwo ją przerosło”. Nie rozumiałam, o czym wtedy ciotka mówiła, teraz jednak zaczynam się domyślać. Wstydzę się jednak o tym pisać i nie wiem, czy powinnam. Na samą myśl aż spocily mi się ręce... Być może spróbuję opowiedzieć o swoich domysłach później. Mam wrażenie, że

wszystko, co ubieram w słowa i o czym później mogę przeczytać, staje się bardziej rzeczywiste. Prawda dociera do mnie ze zdwojoną siłą, jest bezlitosna i nie da się jej wymazać. Jak tamtego fragmentu o pannie Neumann pachnącej proszkiem do prania. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że pewnie się już nigdy nie spotkamy.